

Leopold Dziąsło i przeuroczy Olgierd w akcji

Wszystko, o czym tu napiszę, może niekorzystnie wpłynąć na psychikę czytelników o słabych nerwach. Z tegoż powodu pozwolę sobie ostrzec Was zawczasu.

Wszystko zaczęło się lipcowej nocy... Profesor Leopold Dziąsło i jego jakże uroczy asystent Olgierd prawie kończyli pracę nad badaniem niedawno znalezionej nadajnika, który - jak twierdzi sam mistrz Leopold - najprawdopodobniej pochodzi z innej planety. Badanie naszych specjalistów miało na celu odkrycie czasu, a przede wszystkim okoliczności pojawienia się owego nadajnika na naszej skromnej planecie. Na początku profesor musiał zbadać zawartość niezidentyfikowanego obiektu. Okazało się to śmiesznie proste, gdyż był on łatwy w budowie niemal na równi z ziemskimi sprzętami RTV, AGD etc. Zawartość kosmicznego nadajnika stanowiły niebywale trudne do rozszyfrowania informacje, przekazane drogą ustną. Możliwe do odczytania były jedynie słowa: ... Marsie się... budyń ... grill ... Jimmy ... pożarto ... !

Na całe szczęście profesor Dziąsło wraz z wiernym asystentem Olgierdem stanowili niebywale zgrany team. Charakteryzowali się przede wszystkim wyjątkowym zaangażowaniem w prowadzone badania. Wobec tego, nie wahając się, wsiedli do swojego doskonale wyposażonego, najnowszej generacji statku kosmicznego, o jakże wdzięcznej nazwie „Leopoldomobil”, po czym podali kurs na Marsa.

Jak się później okazało, wraz z odpaleniem silnika rozpoczęła się niezwykle przygoda.

Ponieważ zarówno Olgierd jak i Leopold mieli za sobą już niejedną wycieczkę na Marsa, sama podróż przebiegła bez szwanku. Jakież więc było zdziwienie naszych bohaterów, gdy po dotarciu, na stosunkowo dawno nieodwiedzaną planetę ujrzeni coś takiego! Na Marsie nie było żywej duszy ... poza pewnym dziwnym facetem ubranym jak : DZIECKO KWIAT z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Zdobiał go artystyczny (asymetryczny) zarost. Obok niego stał rośli mężczyzna o budowie rodem z ukraińskich gali boksu. Pierwszy z nich na widok profesora i jego uroczonego asystenta zaczął mamrotać coś pod nosem. Trudno było go zrozumieć.

-Witam panów kierowników. Z wizytą rekreacyjną przybywacie ?

- W zasadzie, to na naszą planetę – jaką jest Ziemia – trafił ten oto nadajnik. Chcieliśmy zatem dowiedzieć się o nim czegoś więcej, gdyż z lekka zaniepokoiła nas jego zawartość. Czy byłby pan łaskaw rzucić okiem ? Nie widzę tutaj nikogo innego, więc może nawet wie pan coś na jego temat ? A w ogóle to czemu są tutaj takie pustki ? I dlaczego trzyma pan w rękach maskotkę Liverpoolu i pustą butelkę Brendy ? O co tu chodzi ?

-Chwila, chwila panie kierowniku. Zbyt dużo pytań. Czy możemy wrócić do pierwszego ?

Nim zdążył dokończyć, jego przyjaciel – paker z miną świadczącą o delikatnym podekscytowaniu zaczął energicznie szeptać coś do ucha swojemu kompanowi. Po krótkiej „nieoficjalnej” naradzie, hippis powiedział:

- Czy panowie kierownicy są skłonni nam pomóc ?

- Ale o co chodzi ? – zapytał stanowczo lekko podenerwowany Olgierd.

- No bo ... tutaj, panie kierowniku nastąpiła taka nietypowa sytuacja ... otóż mój kolega poznał niedawno pewnych podejrzanych gości. Mówili, że mają dobry towar –mam na myśli mentosy, czy jakoś – no to kolega spróbował i ... no i ... no i okazało się , że towar rzeczywiście był mocny, bo kolega zgrillował naszego psa Jimmy’ego, po czym zjadł jego twarz...

- I jak my niby mamy wam pomóc ?! – zbulwersował się profesor.

- No ... bo my gdzieś zgubiliśmy tych gości, a wydaje mi się, że należy nam się od nich jakieś odszkodowanie.

-Ale za co ?!

-No ... za zjedzonego psa. Niby rasowy nie był ... ale kochał równie mocno...- po tych słowach hippis przybrał nostalgiczny wrzask, co rozculiło profesora. Działo spojrzał znacząco na Olgierda, po czym zupełnie niespodziewanie wypalił:

-No to jak Olgierdzie ? Pomożemy damom w opałach ?

- No no, szanowny panie kierowniku ! Tylko bez takich żartów proszę!

-No dobrze zacznijmy od tego, czy macie jakiś sprzęt. Statek kosmiczny, jakieś lasery, nadajniki, kamery ... nie ... ? No trudno. Będziemy musieli posłużyć się naszym sprzętem. Olgierdzie ! Do Leopoldomobilu !

Po tych słowach czterej towarzysze zasiedli wygodnie w fotelach statku o wyżej wymienionej nietypowej nazwie a wyborny (i jakże uroczy) pilot Olgierd majestatycznym ruchem odpalił silnik.

- Kierunek ... no właśnie ... to gdzie lecimy ?

- Ostatnio widziałem jednego z tych parszywych zwyrodnialców przy cyfrowej naleśnikarni przy ulicy prezydenta Vitalija Klitschko.

- Zatem kierunek: ULICA PREZYDENTA VITALIJA KLITSCHKO !

Ponieważ ulica mieściła się całkiem niedaleko, bohaterowie przybyli na miejsce w dosyć szybkim tempie. Jak się okazało, owi „goście” stali tam nadal. Najwyraźniej próbowali naciągnąć jakiegoś niewinnego i bezbronnego przechodnia na ten niebezpieczny towar. Na szczęście hippis w porę zareagował. Energicznym krokiem podszedł do trzech elegancko ubranych mężczyzn i zaczął wykrzykiwać niecenzuralne słowa, przeplatane zdaniami typu: „Mój biedny pies Jimmy ! ... oddajcie mi psa ! ... Jimmy ! ... pies ! ... oddawać ! ... Jimmy! etc. Bohaterski (i jakże uroczy) Olgierd zdołał złagodzić sytuację, w niezbyt delikatny, ale za to skuteczny sposób. Po prostu potraktował hippisa nowo nabytym paralizatorem. Spokojnie. Nikt nie odniósł znaczniejszych szkód. Cała historia skończyła się dobrze, bo tajemniczy mężczyźni zgodzili się zapłacić za utraconego psa. Wprawdzie hippis i paker wyklócili się trochę, mówiąc, że za żadne pieniądze nie można kupić miłości, jaką darzył ich pies. Gdy jednak „goście” zapłacili o 30 procent więcej, konfliktowi panowie ucichli.

Gdy Leopold Dziąsło i Olgierd odwozili nowo poznanych panów, profesorowi coś się przypomniało ... coś dosyć istotnego. Chodziło bowiem o to, dlaczego na Marsie jest tak mało ludzi ?

Elokwentny hippis odpowiedział krótko i zwięźle na to pytanie:

Panie, my nic nie wiemy. My Polacy. Z wesela wracamy.

